Tom XII. Nr. 13.

1. maja 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Filip.

Gromada Bobrowice ma ładny i murowany kościoł, obsadzony w około staropolskiemi lipami, a na samem wejściu do bramki kościelnej stoi sobie dąb, ależ to dąb gruby, jak dobra beczka a wysoki taki, że trza dobrze głowę do góry podnieść, jeźli chcesz sam czubek tego dęba zobaczyć. Zaraz za ogrodzeniem kościelnem stoi szkoła i szpital dla dziadów i babek, a to wszystko opłaca gromada cała ochotnie i sumiennie, bo ze szkoły wychodzą dzieci gromadzkie na pobożnych gazdów, pisarzów, rzemieślników, ba! nawet mają już tam dwóch zakonników swojaków, jeden znowu swojak jest ekonomem aż na Podolu za Lwowem a co znowu dostało się na wojaków, to wszystko zostało starszymi od pana kaprala aż do oficera. A do szpitalu tego idą na swoje stare lata jeno tacy swojący, co to podupadli i nie mają z czego żyć, a jest tam jeden stary i siwy dziaduś, co go niedobre wnuki wygnały z gruntu i chałupy, i tam płacze i mówi zawsze:

— Niech im tam odpuści wszystko pan Jezus Miłosierny! Ale w tej gromadzie jest jeszcze jeden starodawny zwyk dobry,

że na św. Filipa jest tam z dawien dawna bardzo wielki odpust, a potem po całem nabożeństwie mają tam chłopacy i dziewczęta zabawy takie, że się biorą za ręce i na około tego dęba latają i na cały głos wyśpiewują:

Witaj! witaj! ukochany Maju
Co za radość sprawiasz dzisiaj nam i t. d.

Śpiewają tam jeszcze inne staropolskie spiewki a znowu na tę uciechę trafi się, że kto ukradkiem wypali z pistoletu albo klucza, a wtedy krzyk tam i radość taka, że aż ziemia dudni. Na odpust taki wiośniany schodzą się do Bobrowic rozmaici ludziska, a dziady lecą tam gromadami jak wróble do konopi. Otoż tego roku był tam także jeden taki dziaduś, co już nie miał ani włoska na głowie, ani ząbka jednego w gębie, a na oczy widział tyle, że ludzie się ruszają koło niego, a znowu trza było dobrze krzyknąć, aby on dosłyszał i zrozumiał, co kto do niego gadał. A wszyscy gadali o nim, że jemu już jakie 100 lat okładem. Po nieszporach usiadł on sobie koło bramki kościelnej i słuchał gwaru i spiewek tych dzieci, co to koło dęba latały i krzyczały. A potem mówił:

— To wy moi dobrzy Bobrowiczanie i gazdowie macie tu patrona odpustowego co za świętego?

A jeden gazda pobożny gada:

— My tu mamy św. Filipa Apostoła za patrona wsi całej.

— A wiecie wy też co o tym św. Filipie? — pyta dziaduś.

— Ot! tyle, mówi gazda, co nam czasem na kazaniu opowiadają xięża odpustowi.

A dziaduś pytał dalej.

— No! ktożto był ten św. Apostoł? czy to nasz krajan, czy jaki poganin? i co on zrobił dobrego?

Gazdowie trochę bałamucili bez początku i końca i nikt nie umiał opowiedzieć na wyrozumienie i akuratnie jakto było na prawdę, toż dziaduś pokiwał głową i jął tak opowiadać:

— Otoż ten wasz wsiowy i odpustowy patron nie był przenigdy takim Polakiem, jak wy z dziada pradziada, ani też nie postała jego noga nigdy na polskiej ziemi, ani nie apostołował on na północy, jakto robił św. Andrzej, ani nie był żadnym poganinem, bo wszystkich św. Apostołów wybrał sobie

pan Jezus pomiędzy najlepszymi i najpobożniejszymi żydami z krainy galilejskiej — toż wszyscy św. Apostołowie i uczniowie pańscy byli to zwyczajnie ludzie, co mieli dobrych i pobożnych ojców, a matki najlepsze, co byli chowani w bojaźni bożej i w zakonie bożym i w starych cnotach i mieli wielką ochotę do wszystkiego dobrego — a jak jeno kto doradził co dobrego zrobić, to oni byli pierwsi do tego. Ci wszyscy św. Apostołowie byli to ludzie z biednego rodu, zarobnicy, rolnicy, rybacy i rzemieślnicy, żyli z rąk pracy uczciwej, nie robili cygaństwa, szkody — jedni z nich starsi latami, byli pożenieni i żywili sprawiedliwym zarobkiem swoje rodziny bez wymówek i narzekania; drudzy zaś byli to ludzie jeszcze młodzi, chowali się przy ojcach w posłuchu, zgodzie i cichej pracy na kawałek chleba; inni byli znowu i grzesznego życia, ale się nawrócili na jedno słowo pana Jezusa i zostali potem świętymi. Otoż i św. Filip był z kraju tego samego, gdzie się narodził i wychował sam pan Jezus. On z żyda został Chrześcianinem, bo dał się wychrzcić i uwierzył całem sercem w pana Jezusa a co więcej, przystał on do pana Jezusa zaraz na początku samym i to tak że był między tymi piątym, którzy zapisali się pierwsi do nauki Zbawiciela.

Na to gadanie onego dziadka staruszka zadumali się trochę Bobrowiczanie, bo jakoś im to nie zdawało się, że św. Filip pochodził z żydów takich, jacy są do dziś, aż jeden gazda mówił tak:

— Toby wszyscy ci św. Apostołowie: św. Piotr, Andrzej, Jan, Jakób i św. Filip, co najpierwsi przystali do pana Jezusa, mieli pochodzić z żydów?

A dziaduś na to zaraz:

— Tak to moi kochani! wszystko jedno na świecie bożym, czy żyd, czy Turek, czy poganin, aby jeno uwierzył w pana Jezusa i został pobożnym i przykładnym człowiekiem, to coż to znaczy? Zgrzeszyć może łatwo każdy, ale poprawić się i upamiętać i nawrócić na dobrą drogę jak pan Jezus każe, to mi dopiero miła rzecz dla samego pana Jezusa i dla św. Aniołów. Toż za czasów pana Jezusa na tej ziemi byli sami żydzi tacy mądrzy, co wierzyli w jednego Boga — a reszta ludzi to

wierzyli w co chcieli do upodobania — byli wtedy żydzi i poganie. Jeno źle zrobili żydzi, że wszyscy do razu nie dali się wychrzcić i nie uwierzyli w pana Jezusa, jak to dobrze zrobili św. Apostołowie i św. Filip. Toż miarkujcie sobie to w waszych głowach, że my katolicy stoimy teraz dla tego nad żydami, że mamy naukę świętą od samego pana Jezusa, a żydzi nie mają takiej. Ale dla tego nie należy się gardzić nikim, ani nie trza robić nic złego żydom, jeno trza się wystrzegać takiego szachrajstwa i cygaństwa, jak to nie raz robią żydzi. Kiedy chcą to niech sobie żydzi zostaną żydami, a my znowu zostańmy katolikami, ale wszyscy razem róbmy dobrze, a nie róbmy nic złego jedni drugim, bośmy wszyscy Polacy i bracia!

Zakaszlał się trochę dziaduś, odplunął, stęknął i zaczęło mu robić piersiami — Bobrowiczanie żałowali strasznie takiego mądrego i pobożnego dziadusia, podali mu wody do napicia, trzymali go rękami, aby się starowina pobożny nie przewrócił przy kaszlu, a jak się dziaduś uciszył, mówił im:

— A co to ja na ostatku powiadał? bo to moja pamięć już do niczego, Boże zmiłuj się!

A ludzie gadali na to:

— Przestańcie gadać dziadku! bo wam to szkodzi!

— A co wy mi gadacie takiego, rzecze dziaduś, toć to do ostatniej godziny trza nam jeden drugiego pouczać aby jakoś było lepiej na świecie — a dobrego słowa i dobrej rady nie żałuj drugiemu, jak mu nie żałujesz ognia i wody. No! toż słuchajcie dalej o św. Filipie. Otoż miał on ojców chudobnych w mieście, co się zwało po żydowsku Betsaida, i stało na samym brzegu morza, gdzie to pan Jezus jeździł na łodzi i cuda robił i nauczał. Za młodu był on posłuchliwym na wszystko dobre, a do złego nie zwabił go nikt ani słowem ani miodem. Po robocie brał św. pismo do ręki i czytywał sobie od końca do końca, a czego nie wyrozumiał dobrze, to leciał do drugiego mądrego i wypytywał się o wszystkiem. Przez takie czytanie poznawał lepiej Boga i święte przykazy i wyuczył się sam na tyle, że wiedział bez niczyjej rady, co robić a czego nierobić. Ale miał straszną ochotę do nauki, aby dużo dobrego wiedzieć i potem to każdemu szczerze co do słowa jednego opowiedzieć —

był też taki szczery dla każdego, żeby mu był dał wszystko z siebie. Toż ojcowie chudacy radowali się strasznie z takiego dziecka, co to było pierwsze do każdej roboty, posłuchliwe jak listek na wiatry, a pobożne takie, że się garnęło do kościoła, do szkoły i do każdej dobrej książki, jak woda do morza. I wyrosł ten Filipek na chłopaka jak ulał, bo to żadna robota nie szkodzi nikomu tyle, ile grzech każdy — a grzech jeden to tak nieraz oszpeci, żeś niepodobny do człowieka, boskiego stworzenia. Toż takie dobre dziecko będzie miało i świątobliwe życie i nie pójdzie marnie z tego świata. I Filipek, jak jeno posłyszał raz naukę od samego pana Jezusa, jak się przypatrzył na własne oczy panu Jezusowi, to go tak wzięło za serce, że bez namysłu długiego przystał do razu do pana Jezusa i zaczął się uczyć na Apostoła, ni to xiędza, aby potem pracować na zbawienie duszy każdego człowieka na całym świecie bożym.

A jeden gazda poderwał:

— No! i czy też ten chudzina Filipek wyszedł potem na co dobrego?

— A wy jak myśleli, mruknął dziaduś, toć i ubogi i najbiedniejszy mizerak ma jednaką duszę od Boga jak i bogacz jaki — a naukę daje Bóg każdemu kto jeno chce, boć nigdzie nikogo nie gonią ze szkoły, jeźli się chce wyuczyć, a dobrego życia wyuczyć się możesz w kościele św. i to za darmo — toż i Filipek przy pomocy Pana Jezusa i przy swej ochocie wyszedł za trzy lata na św. Apostoła, a między dwunastoma Apostołami jest on piątym, a po nim przybyło jeszcze siedmiu nowych. Toż on przez naukę i pobożne życie został od Pana Jezusa wybrany na to, aby ni to biskup jaki, nawracał żydów i pogan i chrzcił ich na religję św. chrześciańską.

— A co to stało się z nim dalej? — zapytał znowu ktoś.

Dziaduś opowiadał dalej:

Ten św. Filip patrzył się na wszystkie cudą Pana Jezusa, i tak go całem sercem ukochał, że opuścił dom ojca, krewnych swoich i co tam spadało na niego po ojcu. Bo to widzicie moi kochani! Zbawienie swojej duszy jest najważniejszą robotą dla człeka, a nierozumny i ostatni głuptak jest każdy, kto zapomina o duszy, a leci na złamanie karku za grzesznym

światem i woli rozpustę i durniczki światowe za życia, niż po śmierci niebo. A znowu bez nauki dobrej i pobożnego życia nie zajdzie nikt przenigdy do nieba. Tego nauczył się św. Filip od Pana Jezusa, i byłby się nie puścił Pana Jezusa, żeby go bezbożni i zamęczyli za to. A znowu jak Pan Jezus umarł na krzyżu i zmartwychwstał, to Go dwa razy z wszystkimi Apostołami widział na własne oczy, a gdy Pan Jezus do nieba wstąpił i zesłał na Apostołów Ducha Przenajświętszego, toć wszyscy się potem rozeszli po trzech na cztery strony świata, poszedł i św. Filip nauczać i nawracać — jeno on sobie tak pomyślał:

— Najbliższa koszula ciała! toż i krajanie moi wartają prędzej dobrej nauki i nawrócenia, niż każdy obcy, i tak dumając poszedł do swojaków do miasta Samaryi i sam dużo, dużo nawrócił do Pana Jezusa i ochrzcił, tam fundował pierwszą parafię chrześciańską między krajanami. Tam tyle dobrego zrobił, że pismo św. mówi, iż całe gromady nawracały się na jego słowo i na jego cuda, bo uzdrawiał porażonych, kulawych i chorych, a całe miasto radowało się z jego apostolstwa. A jak się o tem dowiedzieli drudzy Apostołowie, toż posłali na pomoc św. Filipowi zaraz św. Piotra i Jana, którzy znowu bierzmowali wszystkich ochrzczonych.

— A długo to jeszcze potem nawracał św. Filip ludzi? zapytali się gazdowie.

— O długo! długo! mówił dziaduś. Bo z miasta Samaryi udał się znowu św. Filip w inną stronę na południe do krajanów, tam ich dużo w mieście Gaza nawrócił, tam po drodze ochrzcił bogatego sługę jednej pogańskiej królowej, a gdy dla swojaków zrobił tyle dobrego i niejednę duszyczkę zbawił, wtedy sobie dumał, że trza i obcych ludzi pouczyć i pogan trza nawracać, bo taki przykaz jest od Pana Jezusa, a nauką dobrą i sercem dobrem trzeba się z wszystkimi obdzielić. I poszedł on znowu na wschód słonka do pogańskiego kraju Frygii, a tam mu dopiero dojechali ci niedobrzy poganie i to za to, że on im przyniósł naukę i zbawienie.

— No! cóż mu takiego zrobili? — spytali się wszyscy.

— A coby dobrego! mówi dziaduś — toć to zły i głupi człek zrobi zawsze tak, jak nie trza, toż i tamci zaślepieni myśleli, że św. Filip ich bałamuci i na złe ciągnie i nuż go złapali, pierwej kamieniami pokaleczyli, a potem na krzyżu przybili i umęczyli.

— A cóżto za ludzie tacy! — zawołali gazdowie — a dla Boga świętego, żeby za dobre słowo, za prawdę i naukę jeszcze zabić kamieniami kogo!

— Wy tak nie róbcie! — mówił dziaduś, boście Chrześcianie a was by Pan Jezus sto razy bardziej karał i sądził, niż tamtych pogan niedobrych, bo wy macie naukę w domu bożym i po szkołach, macie prawa Boże, czego tamci biedacy ani znali, ani słyszeli. Otoż takim był za życia ten św. Filip, którego tu macie w Bobrowicach za patrona, wy go naśladnjcie we wszystkiem. Ale kto mi z was zgadnie, z jakiej racyi przypada św. Filipa na samym początku Maja?

— O! odezwał się jeden gazda, może to na to, że on się urodził w tym miesiącu, może w tym dniu jego urodziny albo imieniny?

A drugi dodał na to:

— A może go w tym czasie poganie umęczyli?

— Otoż to drugie jest prawdą, mówił dziaduś, toż my Polacy katolicy mamy na pierwszgo Maja św. Filipa na tę pamiątkę, że on był w tym samym czasie umęczony.

— Aha! zawołał ktoś z boku, a gdzie też jego święte ciało pochowane leży? może gdzie u pogan?

— O! nie, mówił dziaduś, ciało jego święte jest w samym Rzymie, tam gdzie Ojciec św. siedzi. A dla nas Polaków jest dzień pierwszego Maja pamiątką, bo święcimy jako katolicy w tym dniu pamiątkę śmierci strasznej św. Filipa a to na to, abyśmy sobie pamiętali to prawo Boże, że nie trza nikomu ani krajanom ani obcym nigdy robić przykrości najmniejszej, ani bić ani kaleczyć ani zabijać nikogosieńko na świecie — a broń Boże takich, co nam prawdę mówią i na dobre radzą.

A kto mi z was zgadnie znowu to, na co to wasi chłopacy i dziewczęta biegają w tym dniu koło tego dęba kościelnego i wyśpiewują różne wesołe śpiewki? ba! po innych miastach i

wsiach to idą szkolarze z takiemi chorągiewkami na pole i tam dokazują co jeno można wymyśleć?

— O! na co! mruknął jeden starowina, juźci dzieci jak dzieci, młoda krew, zdrowia tyle, a do tego takie ciepłe słoneczko wiośniane, to i nie dziw taki wielki, że się bawią i latają jak pszczoły koło ula.

— To prawdę gadacie, mówił dziaduś, to zwyczaj staropolski, i nasi pradziadkowie radowali się wszyscy na tym dniu, dziękowali Bogu za pierwszy dzień wiosny i strzelali i grali i tańcowali w całej polskiej krainie, toż i my mamy ten dobry zwyczaj zachować, jako spuściznę że i my tacy Polacy i katolicy i to tacy sami, jak byli nasi pobożni pradziadkowie. Ale dla nas jest jeszcze trzecia pamiątka na pierwszego Maja a mało kto z was wie o tem — toż ja wam i to przypomnę, boć ja stary pamiętam to dobrze i słyszałem to na moje uszy i patrzałem na to sam. Otoż roku pańskiego 1791 ogłosili nasi biskupi, xięża, pany i sam król polski na samym początku Maja także prawa dobre dla wszystkich Polaków, że takich praw nie było wtedy nigdzie na całym świecie i te prawa polskie nazywają się: „konstytucyą trzeciego Maja“. Toż była wtedy radość w Warszawie, Krakowie, Wilnie, Lwowie, po wsiach całych — toż my na pierwszego Maja co rok wspominać sobie mamy wszyscy to, co było dobre dla naszych dziadków.

Dziaduś przestał dalej mówić, bo się strasznie zmordował, a pobożni Bobrowiczanie wzięli go na nocleg do domu, uraczyli za dobre słowa, napchali mu chleba do torbiny i dnia drugiego wyprowadzili ładnie za wieś i pożegnali z Bogiem. A ja słyszałem to, jak mi Bobrowiczanie to wszystko o tym dziadusiu powiadali i piszę to do słowa do Dzwonka, aby gromady polskie to wiedziały.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Na pociechę!

Pamiętajcie ludzie, przystękując w pocie,
Że najgorsze licho, kiedy na wylocie!

Pamiętajcie ludzie w niedoli statecznie,
Licho krótko żyje, ale pan Bóg wiecznie!

Choćby bieda wielka, człek się myślą krzepi,
Ciężko nam na świecie, ale będzie lepiej.

Gonią chmury gonią, zimny wicher leci,
Bóg rozpędzi chmury i słonko zaświeci!

Hula zima w polu, mróz uchwycił w kleszcze,
Niech trochę potrzyma, popuści on jeszcze!

Śnieg przywalił pola, szaleją zamiecie,
Przyjdzie przecież wiosna, staną pola w kwiecie!

Sroży się złość ludzka, na krzywdę się pręży,
Złość marnie zaginie — a dobre zwycięży!

Nie ma w chacie chleba, ni grosza w komorze,
Będzie chleb i strawa z Opatrzności Bożej!

W nędzy człek poczciwy, zły w rozkoszy żyje,
Bóg dobrego wzmoże, a złego pobije!

Smutno w Polsce smutno, łez i żalu wiele,
Przyjdą lepsze czasy, będzie nam weselej!

Oj będzie weselej, oj będzie nam lepiej,
Oj minie raz nędza, licho się odczepi!

Jeno pracy, zgody i cnoty nam trzeba,
A Bóg nie poskąpi pomocy swej z nieba.

Pamiętajcie ludzie, przystękując w pocie,
Że najgorsze licho, kiedy na wylocie!

Pamiętajcie ludzie w niedoli statecznie
Licho prędko mija — a Pan Bóg trwa wiecznie!

Wojtek z Smolnicy.

Końska krzywda.

Opowiadka mego dziadka.

Dziadunio mój, panie świeć nad jego duszą, bo już dawno nie żyje starowina, nie mógł się nigdy patrzeć na to spokojnem okiem, kiedy kto z chudobą bez miłosierdzia się obchodził i konie, woły albo nawet psa i kota katował.

— Moi kochani — mawiał zawsze dziaduś — kto bije albo głodzi niemiłosiernie bydlę, ten nie ma poczciwego serca, a jak się wprawi na niewinnej chudobie, to potem i na swych bliznich będzie okrutny! Alboż to myślicie, że kiedy mordujecie i pastwicie się nad bydlęciem to pan Bóg z wysokiego nieba nie lituje się swego stworzenia i nie gniewa się na człowieka, co taką twardą jak kamień ma duszę! Byłem ja sam świadkiem jednego takiego wypadku i patrzałem sam na to własnemi oczyma, w jak dziwny sposób skarżył się przed ludźmi i przed Bogiem koń za swoją krzywdę.

— Jakto dziaduniu — wolaliśmy na to — to koń się skarżył na krzywdę? A jakżeż to być mogło?

— Jak to być mogło? Powiem wam to zaraz. Niedaleko ztąd w pewnem miasteczku murowano drogę. Jak zazwyczaj do nowej drogi potrzeba było huk kamieni i szutru, to też ze wsi zwożono je bez ustanku. Otoż pod miastem we wsi Jaźwinie mieszkał wieśniak jeden, co miał jednego konia. Boże zmiłuj się, co to za nędzne i biedne było bydlę! Bo to Jacek pastwił się nad tym koniem i katował go bez serca, głodził go całemi dniami, a jak się najął do szutru, to ładował fury okrutne, że ledwie szkapa uwlec mogła, a wytchnąć jej nie dał, jeno bił i męczył bez ustanku. A przecież koń ten biedny zarabiał dla Jacka na chleb, bo sam Jacek nie miał żadnego mienia i gdyby nie ten koń, byłby żyć nie miał z czego. Ano patrzcie, a przecież niewdzięcznik zamiast być wdzięczny dla tego konia, jeno go dręczył i głodził, i ani chwili mu nie pofolgował!

Toć kiedy Jacek przywiózł szuter do miasta i zsypywał go z wózka koło kościoła, konisko biedne z nóg opadało, a ludzie stawali z litości i wyzywali niedobrego Jacka, a ja sam bywało ostro mu wyciąłem prawdę, ale cóż to pomogło? Ludzie z miasta z litości dawali temu koniowi Jacka po trochę siana lub sieczki, bo im się serce krajało na tę nędzę, i tak bydlę to nieszczęsne tem tylko żyło, co mu tam kto w miasteczku pod zęby podrzucił.

Aż razu jednego, a było to w zimie, koń Jacków już nogami ruszać nie mógł, jeno jak przyszedł do domu tak legł i

wstać nie chciał. Smagał go nielitościwie Jacek i klął, aż strach zbierał, aż w końcu powiada:

— Leż sobie zdechlaku, póki z głodu nie zdechniesz!

I nie dał koniowi ani ździbła siana a sam podjadłszy sobie dobrze spać się położył.

Tymczasem patrzcie co się stało. Ja właśnie byłem w owem miasteczku parobkiem u garbarza Piotra Barana. Właśnie cośmy się spać położyli, kiedy w nocy naraz budzimy się od wielkiego dzwonienia. Porwaliśmy się wszyscy z pościeli i słuchamy, a tu dzwonią jakby na gwałt w kościele. Strach nas wziął wielki, bośmy na pewno myśleli, że się pali w mieście. Wybiegliśmy co tchu na dwór a tu już ludzie pędzą co siły z wszystkich domów i wołają „Gore! gore!“

Ale ognia ani łuny nigdzie widać nie było, więc też wszyscy hurmą biegną do kościoła popatrzeć, co też tam się stało, że tak na gwałt dzwon się odzywa. A trzeba wam wiedzieć, że wówczas w mieście tem nie było osobnej dzwonnicy, jeno dzwony wisiały na zrębach, między dwoma słupami, jak to nieraz po wsiach bywa a i u nas nie inaczej.

Noc była jasna jak dzień, przybiegliśmy pod kościół, patrzymy... i aż nas od strachu mrowie przeszło po plecach... Koń Jacków ledwo żywy leży pod kościołem i trzymając zębami powróz od dzwonów, dzwoni bez ustanku!... Ludzie się zdumieli od zgrozy, nie wiedzą co to znaczy, jeno się się żegnają i patrzą, a koń ciągle szarpie za powróz zębami i dzwoni!

Po chwili wybiegł z domu i xiądz proboszcz a zobaczywszy to, mówi do nas:

— Nie straszcie się ludzie! Nie są to żadne dziwy, jeno dopuszczenie Boże, z którego sobie przykład bierzcie. Wiecie jak Jacek konia swego katował i dręczył. Pewnie morzył głodem biedną chudobę, a teraz twarda zima, więc bydlę z mrozu i głodu wytrzymać nie mogło. Biedny konisko spamiętał sobie pewnie, że mu ludzie, kiedy nim Jacek szuter przywoził, dawali z litości po trosze siana pod kościołem, więc przywlókł się pod kościół ze wsi, a z głodu chwycił zębami za powróz, a gdy go gryzł i szarpał, więc też i dzwony poruszył, że tak głośno zadzwoniły!..

I nie było też inaczej, jeno tak, jak xiądz proboszcz mówił. Wielki nas gniew porwał na tego Jacka i gdybyśmy go byli mieli między nami, byłby z zdrową skórą nie dostał się hultaj do domu. A potem każdy z nas dumał sobie, jak to Bóg dziwnym sposobem naprowadził bydlę, aby się swej krzywdy przed ludźmi użaliło — a xiądz proboszcz miał do nas z tej racji piękną przemowę, ażeśmy się popłakali, a tak zakończył:

Pamiętacie o bracia, jak Bóg sprawiedliwy
Za pokrzywdzonych strasznie pomstę bierze,
Jak się ujmuje nawet i za zwierzę!
Cóż więc za człeka? za swój obraz żywy?
Baczcież, by przez was nie był kto skrzywdzony!
Bo choćby na gwałt zań nie biły dzwony,
Choćby się żaden zań nie ujął z ludu,
Serce prawdziwe to dzwon najgłośniejszy,
Co wszystkie mocy Niebieskie rozbudzi,
I zgrozą przejmie, jak was dziw dzisiejszy!

A potem kazał xiądz proboszcz zaprowadzić biedne bydlę, do swej stajni, a poczciwi ludziska naznosili mu owsa i siana i pookrywali płachtami, aby się pożywiło i zagrzało. A na drugi dzień dziw ten rozniósł się po całej stolicy, a kiedy się o tem dowiedział i ów bezbożny Jacek, ogromny go strach i żal przejął i przybiegł do miasta i spowiadał się przed xiędzem proboszczem i dał na mszę, żałując srodze swego okrucieństwa. Zaś koń ten, aż dopóki żyć nie przestał, stał u xiędza proboszcza w stajni, a z miasta składali się ludzie na jego wyżywienie.

— A co? — skończył opowiadać dziadunio — nie dziwny to wypadek! Nie widać tu z tego, że Bóg ujmuje się i za krzywdą bydlęcia! Oj bierzcie z tego ludkowie przykład i naukę, jak się obchodzić trzeba z chudobą, co na nas pracuje!

Pamiętajcie sobie zawsze, co my wam tu wypisujemy:

Jeżeli kto z was gospodarz poczciwy,
To o chudobie swej zawsze pamięta,
To wie, że syte a zdrowe konięta
To dla biednego człeka skarb prawdziwy!
To pomocniki, wierne przyjacioły,
Co z nim najcięższe podzielą mozoły,

Co mu i chleba dostarczą i soli,
I poratują w biedzie i niedoli!
Dobry człek bydlę szanuje jak może,
I ani bije ani klnie obrzydle,
Wdzięczny i pomny, że nawet i bydlę,
Choć bydlę — przecież to stworzenie Boże,
I że i za nie Najwyższa Opieka,
Pewno się kiedyś upomni u człeka!

Piękne przykłady.

Bartłomiej Chowaniec, kmieć z Zarszyna.

W Zarszynie, w powiecie sanockim, zmarł w ostatnich dniach Marca tego roku, w ośm lat po swem złotem weselu, nigdy przedtem nie chorując, w ośmdziesiątym roku życia, wieśniak Bartłomiej Chowaniec, zwykle zwany Cymbał (dla tego, że ojciec jego grywał na cymbałach), o którym warto wspomnąć dla przykładu innych.

Za młodu był on podobno nie bardzo stateczny, lecz odznaczał się zdrowym rozumem, otwartością i rzeźkością. Poznał się na jego zręczności i rozumie były dziedzic Zarszyna ś. p. Kaz. Ostaszewski, obywatel dawnych cnót i daty, upodobał go sobie, poprawił, i używał do różnych gospodarskich interesów, a szczególnie do kupna wołów. Gdy mu pierwszy raz dał pieniędzy na kupno, on się tem pochwalił przed swoim teściem, teść przestraszony, odprowadził go do pana z prośbą, aby takiemu hultajowi pieniędzy niepowierzał, lecz pan nie zważał na to, tylko posłał go na jarmark do Krosna.

Bartłomiej tak sobie to zaufanie pańskie wziął do serca, że poszedł tam do kościoła, leżał przez długi czas krzyżem, przyrzekł w duchu wstrzemięźliwość i statek, i odtąd został porządnym i uczciwym człowiekiem, bo kto z Bogiem, to Bóg z nim! Bartłomiej chodził za kupnem wołów w dalekie strony, aż po Sadogórę, i taki sobie wszędzie zrobił kredyt, że mu dawano po kilkanaście wołów bez pieniędzy, bo ktoż nie znał Bartłomieja? Gdzie się tyko pokazał, panowie, xięża, chłopi, witali go z uprzejmością. Z powierzonych mu pieniędzy zawsze co do grosza sumiennie się wyrachował.

Był zaś ten Bartłomiej bardzo śmiały w wypowiedzeniu szczerej prawdy, a to w taki sposób, że nikt nie mógł na niego się gniewać, lecz przeciwnie uściskał go i uszanował. Gdy razu jednego, wezwany do interesu zastał pewnego pana już w duży dzień w łóżku, powiedział mu po prostu:

— Nie będę panu wołów kupował, bo u gospodarza, co tak długo sypia, pewnieby na nic zeszły, a mnie byłaby hańba, żem źle kupił lub oszukał. Bartłomiej kochał z całego serca dawne obyczaje i dawne staropolskie cnoty, to też kiedy widział, że pan albo kmieć porzuca zwyczaj polski swych pradziadów, to nie bał się otwarcie przyganić i ciął prawdę prosto z mosta, że nie było nawet co odpowiedzieć. Gdy widział w niektórych dworach pozakładane angielskie ogrody z cudacka poprzecinane, zapytany raz, czy się też śliwki zrodziły, odpowiedział drwiąco:

— Oj panie! zrodziły się, zrodziły, ale panowie nie macie, tylko prześliczne tarki, boście sady powycinali, a tarki i głogi pozasadzali, nie będzie to dobrze z tego!

A gdy się na kogo rozgniewał, największem szkalowaniem było u niego słowo „P r ó ż n i a k u!“ i miał wielki w tem rozum, bo próżnowanie jest początkiem wszelkiej nędzy, a nędza prowadzi najczęściej do łotrostwa. Jego słowa, warte wspomnienia, były także:

— A czy słyszał też kto w świecie, by chłop miał katar, proszę pana? Teraz już i chłopi mają katar, jak tylko trochę deszcz lub zawierucha, już chłop tylko oknem z chaty wygląda, a natenczas i sobie nie robi, a proś go na zarobek, broń Boże, nie pójdzie. Źle panie, źle! i panowie pójdą z torbami, a i chłopa to nie minie, bo ktoż go poratuje, jeżeli pan sam mieć nie będzie? A dobrze też to, że już mamy z jednej strony Prusaków, kalwinów, dziedzicami, którzy w niedzielę przy kościele wrony strzelają, a niedaleko żydzi mają wsi kilka? Zawłoki wszystko przysiędą, bo już i między nami żydzi zakupują grunta chłopskie, trafia się także, że i Miemcy.

W owym strasznym roku, kiedy to zły duch opętał lud wiejski, że w niektórych wsiach rozbijali i mordowali ludzi po dworach; widząc, że kupa hultai chciała napaść na dwór w Zarszynie, Bartłomiej sam jeden pilnował pańskiego dobytku, chociaż nie

był w służbie, ale swój własny posiadał kawałek, a wziąwszy buczak w rękę, śmiało stanął rozbójnikom w drodze i ostro do nich przemówiwszy, odpędził. — Powiecie może: bronił, bo się spodziewał nagrody! Niema na świecie tak głupiego, by dobrowolnie dla zysku życie swe narażał, a o to w owym czasie nie było trudno, ale on miał Boga w sercu, i jego opiece się oddawszy, bronił praw Boskich i ludzkich, tak samo byłby w potrzebie bronił chłopskiej chaty, bo rozumiał, co to jest własność, i umiał przykazanie Boskie piąte nie zabijaj, siódme nie kradnij!

Tem postępowaniem stał się wielkim dobrodziejem zarszyńskiej ludności, bo ochronił ją od hańby, jaka innym wsiom pozostała, uratował dusze od zagłady i potępienia. Najłatwiej zrobić tylko pierwszy krok, a od rzemyczka, niedaleko do stryczka, od kradzieży do zabójstwa. Zarszyn powinien go mieć zawsze w pamięci przez wdzięczność, dla tego też na jego pogrzeb zebrali się licznie nietylko miejscowi, ale także i obcy włościanie i kilku obywateli, a byłoby daleko więcej było, gdyby nie za nadto ranny pogrzeb według miejscowego zaprowadzenia, o czem nie wszędzie wiedziano.

Panie! odpuść mu jego grzechy i przyjm go do królestwa niebieskiego, bo on Ci Boże uratował wiele dusz od grzechu śmiertelnego i potępienia, a my pozostali, znajomi i nieznajomi pamiętajmy choć raz w rocznicę jego zgonu zmówić „Anioł Pański“ z intencyą wstępowania w jego ślady, bośmy jego dłużnikami, cóż bowiem więcej pobudza do dobrego postępowania, jak piękne przykłady!

Bogumił z Zarszyna.

RÓŻNOŚCI.

Mądry żyd. W pewnej wsi był młody panicz, który bardzo pieniądze i majątek trwonił. Ojciec jego za młodo ciężko pracował, żadnych zbytków nie lubił, jeno grosz do grosza zbierał, aby miał co synowi zostawić, a synalek tymczasem, skoro się dochwycił majątku, nuż hulać i panować i ojcowską pracę na wiatr gdyby plewę puszczać. Otoż raz ten marnotrawny panicz kazał sobie zaprządz do powozu cztery koni i wyjechał na spacer, choć się tam przyjemniej mógł przejść piechotą, bo dzień był śliczny, że aż miło. Gdy tak ten panicz pędzi karetą, zdybuje starego żyda Abrahama, co jeszcze u jego ojca był faktorem, a był człekiem poczciwym i rozumnym. Kiedy żyd ujrzał karetę, stanął na drodze i

począł cmokać ustami, jakby na wielki podziw. Ujrzał to panicz, kazał stanąć i rzecze do żyda.

— A ty się czego tak dziwisz Abrahamie?

— Nu jak ja się nie mam dziwić! — mówi żyd — ja się dziwuje, jaki jasny pan wielki ma rozum!..

— A dla czego? — pyta panicz.

— Nu jasny pan ma bardzo wielki, delikatny rozum. Ojciec Jaśnego pana, kiedy był tak młody, jak Jasny pan, chodził piechotą, nu i tak sobie nogi pozrywał, że na starość musiał jeździć karetą. A jasny pan teraz za młodu jeździ karetą i tak sobie zaszanuje nogi, aby na starość mógł chodzić piechotą.

Panicz się skrzywił, bo zrozumiał, jak mu dociął żyd, że za młodu strwoni majątek a na starość nie będzie miał nic — więc zamyślił się bardzo nad słowami Abramka i poprawił się zaraz.

Złodziej okradł złodzieja. Jest sobie w jednej wsi chłopisko a różnie tam o nim mówią. Jeden niby tak a drugi inak o nim gada, niby chłop ten nic nie robi a dobrze wygląda, jego baba choć już przystara ma się stroić jak jaka pani; — no cóż to komu do tego, nie sądź nie będziesz sądzony, dosyć że tam u nich biedy nie ma, a gdy wszedłeś do izby, stało łóżko porządne a pierzyna wnet powały sięgała. Ale co tam komu do pierzyny, może zagadniesz? Słuchajno cierpliwie a dowiesz się do czego rzecz stosuję: Roku tedy przeszłego tak już dobrze koło św. Michała, gdy już owoc się dobrze dojrzał, wyszedł gdzieś tam on chłop, jak do baby mówił, na zarobek, i samą ją zostawił pod oną wielką pierzyną. Aż tu gdy baba sobie smacznie chrapi, puka ktoś do okna i mówi: spicie już? Baba się przebudzi i pyta: kto tam? A on znowu mówi: Jeno duchem wstańcie i weźmijcie koszyk, bośmy tam wiele gruszek, jabłek i śliwek natrzęśli, mamy się dzielić, my tam stoimy nie daleko kościoła. Baba się zrywa, za koszyk co największy chwyta i co tchu biegnie, bo jej się ogniście śliwek zachciało. Aleć przyszła około kościoła, jakoś nie ma nikogo, idzie tu, idzie tam nikogo ze śliwkami nie ma. Że też już było trochę zimno a ona jeno się tak tam czemś okryła, wnet do dom powraca, by się pod pierzyną rozgrzać. Wchodzi zatem do izby — patrzy — coś ją niby jakoś przeraziło — idzie do łóżka — maca, a tu pierzyny nie masz. Dopiero z całego gardła krzyknie: O ja nieszczęśliwa, o szelma złodziej! i kiedy nie zacznie krzyczeć, kiedy nie zacznie kląć w żywe kamienie!! Sąsiadki się budzą i na ratunek biegną, co jej się stało pytają, ona krzyczy i klnie a rzecz całą, jak była opowiada. A tu w śmiech kobiety: a widzicie, mówią, śliwek wam się chciało, mogliście lepiej pierzyny pilnować. Wnet się też rzecz po całej wsi rozeszla, a choć to już blisko rok temu, jeszcze tam podobno chłopaki baby się pytają, czy dobre śliwki, gdy się na wsi pokaże.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.